

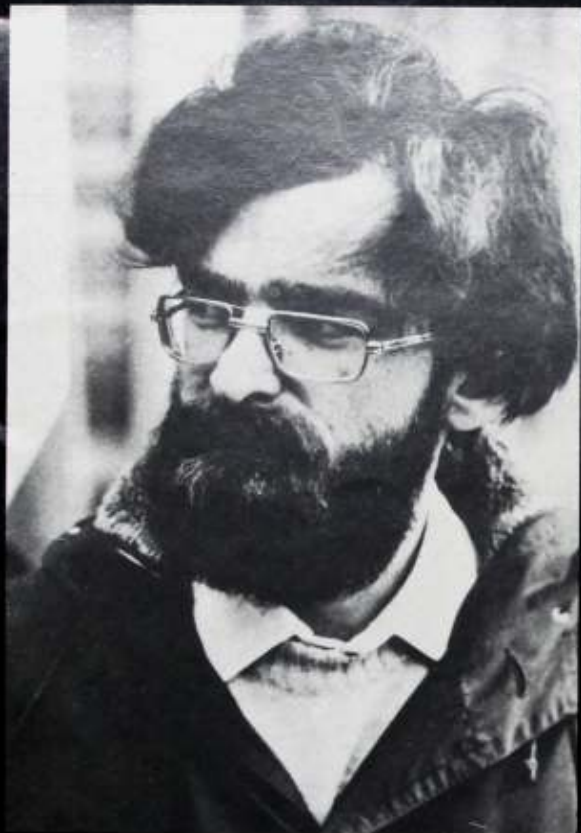


43  
**44**

Krzysztof  
Paczuski

**SONETY**

Wydawnictwo Lubelskie



KRZYSZTOF PACZUSKI urodził się w 1956 roku w Lublinie, studiuje polonistykę. Debiutował w 1974 roku w „Nowym Wyrazie”. Wiersze publikował w „Kamieniu”, „Tygodniku Kulturalnym” oraz w antologii młodej poezji lubelskiej „Przebudzenie” (1976). W Serii II Lubelskich Prezentacji Poetyckich ukazał się jego tomik „Polonez z różą w gardle”. Pisze również opowiadania.

44 SONETY

44

SONETY



Krzysztof Paczuski

44

**SONETY**

Wydawnictwo Lubelskie

Obwoluta i karta tytułowa  
ANNA SZYSZKOWSKA-KOSTKA

Redaktor  
ELŻBIETA LIPNIEWSKA

Redaktor techniczny  
MAREK LOS

ISBN 83-222-0103-6

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1980



*Marzenie Niezgodzie*





(z Kochanowskiego)

Chronisz przede mną, Pani, nieskalane ciało,  
jak jagnię, co od matki odłączone nocą,  
pośród lęków, drgnień serca, chowa głowę białą,  
wypatrując złych cieni nie wiadomo po co.

- Gdyby na los się godząc, wiatrowi oddało  
myśli, które jak liście na gałęziach psocą,  
przecież nawet i wtedy nic by się nie stało!  
Czegóż, klęcząc na ziemi, z bojaźni dygoce?

Pani, czyliż mnie sądzisz być wilkiem dla ciebie,  
co rad by szarpać słodko nieskalaną duszę?  
Ja nie krwi twej pożadam, lecz zagłady w niebie  
oczu twych, gdy je wreszcie do wyznania zmuszę.

Czemu, Pani, jak jagnię szukasz swojej matki?  
Spójrz na mnie, czyliż jestem wśród mężczyzn ostatni?!

## II

Ktoś się we mnie za ciebie bez przerwy podaje,  
ktoś mi kocham do ucha szeptuje jak najęty.  
Nie wiem, czy ty swym głosem zasnąć mi nie dajesz,  
czy też moje marzenia albo los wykrętny

z premedytacją ślepa podsycają pewność,  
że ciągle do mnie tęsknisz albo w tej sekundzie  
decydujesz się nagle, żeby zostać ze mną,  
wiedząc, że na kompromis żadne z nas nie pójdzie.

Lecz i w tobie ktoś za mnie z kolei przemawia,  
ktoś zapewnia, że kocha, śmiejąc się złowrogo.  
Tego śmiechu jak śmierci będziesz się obawiać,  
moją miłość śląc diabłu, swoje losy bogom.

Miłość ma dwóch doradców: dzień i noc — jak doba:  
ten ktoś we mnie i w tobie to jedna osoba.

### III

Pragniesz, aby w twych ustach cierpki smak pozostał  
po spełnieniu toastu za niczyje zdrowie.

Tak twierdzisz, ale prawdy nigdy się nie dowiesz,  
bo pragnienie w wymowie zmiehia swoją postać.

Chciałbym, aby cierpienie nie wynikało z rozstań,  
które codziennie naszym udziałem, albowiem  
nikt z nas nigdy okrutnej prawdy nie wypowie,  
póki czas nam nie każe obok siebie zostać.

Pragniesz cierpienia? Zgoda, bo to z niego właśnie  
rodzi się kształt uczucia, którego nie znamy.

Lecz pomyśl, a za chwilę wszystko będzie jasne:  
czy miłości pożądasz, czy też cierpień samych?

Cierpki smak z niespełnionych oczekiwań płynie.  
Gdy nie kochasz, podobnie jak cierpki smak miniesz.

#### IV

W lesie dłonią polany wyrzeźbię słoneczne,  
wzrokiem przewiercę twarde diamentowe skały,  
cień do słońca oddechem krwi przykleję białym  
i skutki swoich czynów pod sąd oddam wieczny.

W twardej ziemi jezioro pocałunkiem stworzę.  
stopą na proch rozgniotę szkło czerwonej gwiazdy,  
jednym słowem pozmieniam starożytne nazwy  
i skutki swoich czynów pod sąd oddam noża.

Uduszę cię w ramionach, aż do krwi całując,  
a sam za chwilę umrę na świątyni progu.  
Rozniosę w pył pogardę tych, co nas żalują,  
i skutki swoich czynów pod sąd oddam Bogu.

Zmienię świat, wszystkie gwiazdy, każdej myśli powiew  
i skutki swoich czynów pod sąd oddam tobie.

## V

Jedno słowo jak szczapę toporem rozcinam  
na trzy tysiące cienkich jak drzazgi wyrazów  
i sonet za sonetem, z twojego rozkazu,  
błogosławi cię głośno, a szeptem przeklina.

Jedno serce jak światło przed tobą rozdzielam  
pryzmatem warg na milion tęczyowych kolorów  
i kuplet za kupletem, dla twego humoru,  
zadziwia cię i wzrusza, smuci, rozwesela.

Boję się o to jedno biedne moje słowo  
i o serce — nic więcej poza nimi nie mam.  
Lepiej rzucić je w szpony krukowi albo wronom,  
niż patrzeć, jak ktoś obok beznadziejnie ziewa.

Jedną miłość mam tylko — i to mi zabiorą  
dlatego, że mi każesz dzielić włos na czworo.

## VI

Przegraliśmy, a zdajemy się sobie wygrani,  
nie kochaliśmy, a jakby miłością zmęczeni  
od namiętności uciekać chcemy albo zmienić  
podstępnie czarne na białe, coś oddając za nic.

Przegraliśmy wielką wojnę nie zmieniając granic,  
oślepliśmy nie straciwszy rozszerzonych źrenic,  
stoiśmy naprzeciw siebie trochę przerażeni,  
czasami się szanujemy, czasem mamy za nic.

Kochamy się, jakby w lustrach widząc swoje twarze,  
to znów nienawidzimy czegoś, co jednoczy.  
Pragniemy żyć osobno i pragniemy razem,  
milczymy, bo i mówić nie bardzo jest o czym.

Milczenie z prawd największą — do fałszu wybiela,  
co nas łączy, na zawsze musi nas rozdzielać.



## VII

Jeżeli każdej nocy bezsennym spojrzeniem  
błądzisz po ciemnym lesie, jak ja co dzień błądę;  
jeżeli na ulicy nieznajomym łędzie  
tak jak ja w obcych twarzach szukasz zapomnienia.

Jeżeli nagle ze snu zbudzi cię wołanie  
i zadrżysz, jak ja drżałem, i jak ja zatęsknisz ;  
jeżeli powróciwszy w snu soczysty mięksisz,  
jak ja przy tobie, przy mnie nieprzytomna staniesz.

Jeżeli ktoś przypadkiem przypomni ci o mnie  
i zapragniesz być ze mną, jak ja pragnę z tobą,  
jeżeli czasem zdjeta niedomyślną trwogą,  
jak ja będziesz walczyła, żeby raz zapomnieć

o tym wszystkim, co kiedyś między nami było —  
nie oszukuj się wtedy: zgódź się na tę miłość.



## VIII

Chodź tu do mnie, chodź bliżej, mam dla ciebie miękkie,  
bezpieczne, ciepłe, ciche — nie patrz tak z daleka.  
Słodkie, przytulne, bliskie — podaj wreszcie rękę.  
Rozkoszne, wieczne, twoje — zostań, nie uciekaj.

Patrz, to są moje ręce — spokojne i wielkie.  
Gładzę nimi twe włosy, trzymam szklanę mleka.  
Patrz, to są moje oczy — czy widzisz w nich mękę  
albo ból, albo rozpacz — zostań, nie uciekaj.

Mam dla ciebie schronienie i nasenne zioła,  
i odpuszczenie grzechów, i smak słodki chleba,  
i mam dla ciebie imię, które głośno wołam,  
i pieśń, której do śmierci w szczęściu nie wyśpiewam.

Chodź tu do mnie, chodź bliżej, nie pozwól mi czekać.  
Mam coś tylko dla ciebie — zostań, nie uciekaj.

## IX

Lecę w przepaść, choć ciągle śni mi się, że leżę  
na twojej śpiącej dłoni, jak na wargach wiatru,  
wypełniony szelestem bezsensownych zwierzeń,  
kiedy sen obłąkany próbuje mnie zatruć.

W dół, przez kobierzec ciszy, raniąc skroń różami  
spadam, choć ciągle jeszcze śni mi się, że leżę  
zawstydzając ci dłonie bezwstydnymi łzami,  
wypełniony szelestem bezsensownych zwierzeń.

Unoszony do ziemi, zapatrzony w błękit,  
na twojej śpiącej dłoni, jak na wargach wiatru  
przepadam, a nade mną jak ocean wielki  
sen obłąkany znowu próbuje mnie zatruć.

W dół, przez kobierzec ciszy, raniąc skroń różami  
lecę w przepaść. Twój oddech może mnie wybawić.

## X

Ten głos, który zza ściany, spod podłogi, z dachu  
żelaznym strumieniem płynie i do warg mi sięga,  
jest czernią oceanu i zegarem strachów,  
jak zimny nóż przy piersi, jak upiorna ręka,

jak wschód od krwi czerwony lub jak siny zachód,  
kiedy księżycem żyła błękitu rozcięta  
ostatnie krople życia lżą zatapia w piachu,  
na zagładę milczenia, na ciemności pęta.

Ten głos, który zza ściany, spod podłogi płynie,  
jest w studni zlorzeczenia pogłębionym echem  
przedmiotów, których wczoraj nie zdążyłaś wynieść  
z mego domu po sufit spełnionego śmiechem.

Ten głos to twoich dłoni obojętny dotyk,  
niewzruszony w oddechu ust zimowy motyl.

## XI

Znów cię widzę, gdy w swojej niebieskiej sukience,  
jak noc blada, z gwiazdy zstępujesz natchniona,  
i znów pragnę do świtu zamknąć cię w ramionach,  
całować, kochać, umrzeć, nie opuścić więcej

Chwytam cię, od krwi mroku wilgotnieją ręce,  
patrzę, cząstka najmniejsza w mojej dłoni kona,  
spływa z oczu na wargi ciepło nocy — słona  
esencja twego ciała w niebieskiej sukience.

Odwracam się za siebie — oto znów mnie wołasz,  
pod materią poznaję zarys twoich piersi,  
ponad głową gwiazd jasnych wirujące koła  
grają cichą melodię w rytmie moich wierszy.

Chodź do mnie — krzyk mój gwiazdy powtarzają echem.  
To, o czym w nocy marzę, w dzień kwituję śmiechem.

## XII

Spraw, Panie, bym ją kochał, jak się kocha życie,  
a wszystko, co z jej braku przenika mnie chłodem,  
spraw, abym nienawidził jak śmierć i chorobę.  
Jednym sercem i jednym, surowym obliczem.

Spraw, by jej oczy były moich łez odbiciem,  
a lustra, co dokoła obcą sięją trwozę,  
spraw, aby się zmieniły w najczarniejszą wodę  
i zapłonęły w nocy jak cementarne znicze.

Spraw, bym nie widział różnic między nią a sobą,  
niech mgła popłącze w jedno nasze ciepłe włosy,  
niech nigdy warg nie kąsa żadne obce słowo,  
niech wierny pies z oddaniem do stóp przyłgnie bosych.

Spraw, żeby była życiem, gdy się oczy zmęczą,  
pozwól, niech będzie wtedy bezbolesną śmiercią.

### XIII

Tak patrzeć niepoznany, ani żadną rzeczą  
nie dotknięty, by głębiej, jeszcze głębiej sięgać.  
Tak widzieć niewidziany, zatracony w kłębach  
nieprzenikniętych dymów, by źrenice przeciąć.

Tak słuchać nieodkryty i w piekielnych kręgach  
nie stracony, by leczyć tak, jak ziola leczą.  
Tak słyszeć niesłyszany, z niedościgłych wrzecion  
nie utkany, by w nocy księżycom przysięgać.

Tak cierpieć bez okrzyku i bez soli w ustach,  
bez złorzeczeń, by miłość, tylko miłość znaleźć.  
Tak kochać niekochany, zapisany w lustra  
twoich przekleństw, by padać i uciekać dalej.

Tak patrzeć, słuchać, cierpieć, ile tylko można,  
by wreszcie siebie jedną, siebie jedną poznać.



#### XIV

Nie mogę twojej ręki dotknąć ani włosów,  
do kolan się przytulić, pocałować w usta,  
obca jest dla mnie mrozem wyszywana bluzka,  
spódnicę twoją polny wiatr po polu nosił.

I nie wolno mi z tobą złączyć swego losu,  
w oczy spojrzeć, jak co dzień zaglądam do lustra  
Od łez moich zamokła twoja biała chustka,  
twoje gardło zachrypło od mojego głosu.

Zabroniono mi kochać w zbyt okrutny sposób,  
z ziarna miłości spadła porowata łuska,  
która broniła dotąd przed zawiścią ciosu

serce. Po lewej stronie ból pałacy ustal,  
a nadzieja na szary spaliła się popiół.  
Piersz zapala się nożem, ale ręka pusta.



## XV

Jeszcze w rękach niebieskich płomieniem, jak liście  
czarodziejskiej rośliny, płoną twoje włosy.  
Jeszcze ból nie największy, jeszcze nie mam dosyć.  
Kiedy odchodzisz — czekam cierpliwie na przyjście.

Jeszcze nas dzieli morze ogniste jak czyściec,  
ocean bólu, grzechy, czyjeś mściwe głosy.  
Jeszcze nie koniec, ogień stóp nie sparzył bosych.  
Gdy jesteś, strach mój w progu tarasuje wyjście.

Jeszcze kwitną w nas słońcem oszronione drzewa  
i las, i park, i cmentarz, i wiosenny ogród.  
Jeszcze głód zaspokoję okruszyną chleba.  
Kiedy odchodzisz, czekam na jutrzejszy powrót.

Jeszcze nóż jest za tępy, jeszcze krew nie tryśnie.  
Kiedy zostaniesz ze mną, drzwi przestaną istnieć.

## XVI

Znów zjawiałaś się w nocy płonąca, zdyszana.  
Powiedziałaś: tak biegłam, by zdążyć do ciebie.  
Patrzę, a z twojej twarzy jak krew na kolana  
płyną łzy. Czemu płaczesz — wzrok spuściłaś — nie wiem.

I kiedy przerażony wyciągnąłem dłonie,  
aby całować oczy przeze mnie splakane,  
stwierdziłem, że są suche, za to twarz i skronie,  
jakby kroplistym srebrem łzami obsypane,

płonęły płaczem. Wtedy nagle zrozumiałem,  
że te łzy nie są twoje, że to cudze łzy są,  
i czułem, jak nad głową zakrwawione całe,  
uniesione do nieba moje dłonie wiszą.

Czyje to łzy, mój Boże, czyj to ból i męka  
i skąd się wzięła w nocy krew na moich rękach.

## XVII

Pamiętam twoje dłonie — ufne i niewinne,  
czasami zadumane, śmiejące się, tkliwe,  
smutne, niekiedy tęskne, niekiedy leniwe,  
drżące we śnie, na jawie ruchliwe i zwinne.

Pamiętam je, gdy lekko muśnięte się budzą,  
gotowe nagle objąć, chociaż przyczajone  
w drapieżnym zamyśleniu szykując obronę,  
kokietują, kochają i nagle się nudzą.

Pamiętam ich dziecięce i bezwstydne ruchy,  
histerycznie rozwarte palce i dla pozy  
majestatycznie krnąbrne, drobne jak okruchy,  
kobiece, choć niekiedy lubiące się korzyć.

Kobieta w tych dłoniach dziecka wypowiada wojnę.  
Tej walki, choć się staram — nigdy nie zapomnę.

## XVIII

Spotykamy się nocą, potajemnie, we śnie  
na granicy przepaści, która miast rozdzielać,  
łączy mocniej dwa strachy nieprzytomną bielą,  
że patrzymy na siebie jak na zjawy leśne.

Na granicy przepaści, w ciemnym gąszczu mary,  
gdzie co nocy bezwiednie błądzimy w ciemności,  
spotykamy się, ślepy zaczynając pościg  
za dotykiem, co strach nasz uspokoi biały.

Pragnę snu, bo samotność rządzi moją nocą,  
w dzień cię widzę, lecz z pustką usypiam w ramionach,  
sen jest naszym zbawieniem, ale powiedz, po co  
tęsknisz, gdy jestem obok. Czyżby niespełniona  
noc mogła tak bardzo przywiązać cię do mnie?  
Bądź ze mną każdej nocy, a o śnie zapomnij!

## XIX

Nie jesteś mi, Pani, muzą, poezją, wspomnieniem,  
zakazanym owocem czy wierną przyjaźnią,  
nie wiem też, czy miłością, bo mnie przecież drażnią  
uśmiechy, gdzie pokory znajdują kamienie.

Nie jesteś dla mnie śmiercią, trudno, nic nie zmienię,  
że nawet złą pieśzczotą, z którą trochę różnie.  
Nie myślę o tobie płochy, nie myślę poważnie,  
jednak na dłoniach czuję twego serca drżenie.

Nie jesteś, Pani, rozsądkiem i nie jesteś szalem,  
zabawką, kochanką, druhem, żoną, niewolnicą.  
Nie jesteś, i bardzo dobrze, bo nigdy nie chciałem  
wiedzieć, na kogo patrzę, nim całą cię chwyć.

Nie jesteś, Pani... a przecież jesteś, to mnie cieszy,  
nie zagubi się w szczęściu, kto zbyt się śpieszy.

Równy jest cesarzowi (gdyby było wolno  
trochę więcej powiedzieć: cesarza przerasta),  
kto naprzeciwko ciebie siedząc, okiem wraża  
w twarz twoją; słuchem w uśmiech jak w muzykę pełną.

Lica twoje i uśmiech w niepamięć spokojną  
przywodzą mnie smutnego, gdy wzrokiem zadrasnę  
postać twoją. Nie znajdę słowa, które jasne  
wypowie to, co głowę niepokoi wolną.

Usta milkną i ogień we wnętrznościach czuję,  
w uszach szumi potwornie, ból w skroniach cwałuje,  
noc mi oczy zamyka, więc grzęznę w ciemnościach.

Żar mi serce zalewa, pot gorący skronie.  
Bledną, słabość rozkoszna pulsuje mi w kościach.  
Zaraz twoim kolanom martwy się pokłonię.



## XXI

Leżysz naga na dłoniach śpiącego jeziora,  
w marmurowym śnie mrozem rzeźbiona najbielszym,  
Wśród różowych goździków, ekstatycznych wierszy,  
ostatnią czujesz rozkosz łą nie poruszona.

Może umarłaś naga lub doznając konasz  
pod tym, który dla ciebie zawsze będzie pierwszy.  
Wśród różowych goździków całujących piersi,  
jednym spazmem porwana, w niebo lecieć skora.

Nagle znikasz. W tym miejscu zamarznięte lustro  
odbija kształt nagości, profil twego ciała  
różowych kwiatów wieńcem zaznaczony. Pusto,  
może umarłaś, Pani, może tylko spałaś.

Może leżysz przykryta chustą Weroniki,  
a obok z rozkoszy płaczą różowe goździki.



(z Morsztyna)

Milion razy pragnąłem, Lauro nieustępna,  
obopólnego z nami zawieszenia broni.  
Układ rad bym podpisać, nie żalując dłoni,  
bo wiem, że ty do tego także jesteś chętna.

Lecz gdy ja rękę daję, ty ogrodem chodzisz,  
mimo że pokojowe moje znasz pragnienia,  
Ty oszustwo wybierasz i z moim cierpieniem  
igrasz, jakby nie wiedząc, że tak się nie godzi.

Cóż czynić? Kiedy w końcu na walkę przystaję,  
uśmiewasz się do mnie mile i o zgodzie prawisz,  
gdy zaś jestem uległy, od nowa nastajesz  
na mój spokój, nim nowy niepokój się zjawi.

Proszę cię, Lauro, zgody! A że nie żartuję,  
niech świadczy miłość, którą w zastaw ci daruję.

### XXIII

Czarnym grzebieniem strachu noc czesze ci włosy,  
promieniem lęku ranek przekłuwa źrenice  
i kot, jak złe przeczucie do stóp przyłgnał bosych,  
niepewność zimnym wiatrem szarpie ci spódnicę.

Twoje włosy jak w chmurach nagle błyskawice,  
oczy jak pośluczone dwie kropelki rosy  
i drżące stopy w skurczu złączone księżycem;  
strzęp spódnicy na gwiazdach rozwieszony w nocy.

Niepewność, złe przeczucie, strach i lęk jak nici  
nawijane na serca rozedrgany kłębek,  
a włosy, oczy, stopy i strzępy spódnicy —  
to abstrakcje na dłoni ułożone rzędem.

Rozgryź wreszcie kamienną ampulkę goryczy,  
ciesz się z tego, co wszyscy nazywają błędem.

## XXIV

Chroniąc się przed rozpaczą, samotnością, nocą,  
przed zimnem, deszczem, głodem, śmiercią i cierpieniem,  
podróżny wszedł w podwórze. Spokojne sumienie  
jego krok przyciszyło — bać się nie miał po co.

W ciemności, pragnąc klamki dotknąć chorą dłońią,  
trącił ślepo leżące przedmioty na drodze,  
które z hukiem upadły, a ku swojej trwodze  
dojrzał, jak psy z wściekłością w jego stronę gonią.

Z twojej woli w złodzieja przemieniony nagle  
odchodzę z miejsca, w którym szukałem pomocy.  
Z rozpiętym ponad głową czarnym hańby żaglem  
uciekam, by w pokutnej pograżyć się nocy.

Oto jesteś nareszcie kochana przez łotra.  
Krzyczysz: łapać złodzieja! Złodziej śmierci dotrwa.

## XXV

Mam tylko dwie kochanki, dwie Laury, dwie muzy,  
dwie żony i dwie twarze, które wciąż wspominam,  
dwa pępuszki najśłodsze (to nie moja wina),  
lecz jeszcze dwie... nie powiem, uniknę ekskuzy.

Mam za to czworo oczu, czworo zgrabnych uszek,  
cztery rączki i piersi po dwie w każdym ciele,  
mam jeszcze kilka nóżek, ze cztery, niewiele,  
cztery z tyłu... połowy, które głaskać muszę.

Nie będę skrywał — każdy zdążył wyrachować,  
że serce me podwójnym zanosi się drżeniem.  
Poczwórnice muszę pieścić, podwójnie całować,  
poczwórnice mi podwójnym otaczać się cieniem.

Poczwórne moje serce w podwójnej miłości:  
cztery razy się syci, a dwa razy pości.

XXVI

Spisz jeszcze, choć pokrzywą wkluwa pod powieki  
słońce pierwsze promienie i znad głowy szare  
ulatują pod sufit snów dusznych opary,  
a szum liści z za okna do uszu się lepi.

Dłonią zgarniam ci z twarzy włosy, jakbym wieki  
nie oglądał twych oczu. Jeszcze tylko parę  
chwil krótkich i na zawsze pozbędziesz się mary.  
Zbudź się, proszę, o świecie świat wygląda lepiej.

Zbudź się, zbudź się. O świecie, kiedy jestem obok,  
cień śmierci na poduszce wygląda tak śmiesznie.  
Nie płacz przez sen. Czy słyszysz, jestem przecież z tobą.  
Przecież żyję, kochana — umierałem we śnie.

Zbudź się. Boże, jak trudno koszmary wypłoszyć.  
Snu za dużo, lecz jawy także chyba dosyć.

(z Kochanowskiego)

Obiecałaś, że przyjdiesz, więc czekałem wczoraj.  
Tęskniąc, a zapomniawszy z tęsknoty, że czekam,  
napisałem (mądrości, o jakżeś daleka!)  
ten oto wiersz kulawy. Poznaj, że to zmora  
czekania. Gniew głęboki me serce rozorał,  
bom, Pani, zawiedziony, że mi każesz czekać.  
Liczę gorzkie godziny, jak krople aptekarz,  
szukając przyczyn, czemuż nie przysłaś, gdy pora.

Zapraǳiałem coś czytać, lecz rzuciłem księgę.  
Grać coś chciałem, lecz bardon zadźwięczał złowrogo.  
Wreszcie, porwawszy pióro w rozpaloną rękę,  
napisałem: „Niewiasto, o Lauro, niebogo,  
płocha pocieszycielko!...” — tu sen skrócił mękę  
i przemienił zapaly w bezrozumność błogą.

## XXVIII

Otwórz drzwi, bo za nimi może lęk twój stoi,  
może w zamknięciu siedząc nie słyszysz sumienia.  
I tak przecież wsłuchana w każdy szmer się boisz,  
przecież drzwi otworzenie niczego nie zmienia.

Ze strachu, co się czai w zaokiennych cieniach,  
uczyni strach, co ci oczy w oczach twych ukoi.  
Na jego twarzy szukaj swojego cierpienia,  
zamiast w głowie — przed sobą spróbuj go uroić.

Otwórz drzwi, bo za nimi stoi twoja miłość,  
wpuść ją, dopiero wtedy możesz ją wyrzucić.  
To, co jest — to się liczy, nie to, co by było.  
Kiedy stoi pod drzwiami, zawsze może wrócić.

Miłość, której się boisz, stoi wciąż pod drzwiami.  
Jeśli chcesz strach oddalić, otwórz drzwi i zamilcz.



## XXIX

Zebym cię tylko chwilę mógł jeszcze zobaczyć,  
długą potem rozłąkę gotów bym wytrzymać.  
Gdy Bóg ponurą jesień kropłą słońca znaczy,  
łatwiejsza do przetrwania wydaje się zima.

Jedna chwila widzenia i łagodne słowo,  
a kat rozłąki swoją niech czyni powinność.  
Pamięć nie wszystkie cienie wskrzesza jednakowo,  
po nocy lęk odchodzi, gdy się robi widno.

Skłonny jestem zasłużyć na tę małą chwilę:  
oto patrz, dłoń swą zbliżam do płonącej świecy,  
powoli, w rytmie serca, ale coraz bliżej.  
Słysząc syk, dłoń czernieje — to skóra się piecze.

Nie, nie cofnę! Tak długo, jak będzie się tliła,  
tak długo cię przy sobie będę mógł zatrzymać.

### XXX

Zakpij ze mnie — niekiedy nawet jawna kpina,  
czy tego chcesz, czy nie chcesz — jest błogosławieństwem.  
Zabawy nigdy dosyć. Oto stoi przy nas  
błazen snu. Między nami jest dla niego miejsce.

Więc zakpij prosto w oczy — prawda jest przekleństwem.  
Nie bój się tej komedii, to nie nasza wina,  
że nic nas na tym świecie nie pocieszy więcej  
jak kłamstwo, które wreszcie pochlebiać zaczyna.

Zakpij ze mnie i pomóż także mojej kpinie,  
bo kpić już nie potrafię, tak jak dawniej kpiłem.  
Proszę cię — spróbuj zdążyć, zanim miłość minie.  
Kłamstwo bywa rozkoszne, kłamstwo bywa miłe.

Więc powiedz wreszcie: kocham, rzuć mi się w ramiona,  
spójrz: błazen snu błazeńsko uśmiecha się do nas.

### XXXI

Ciągle jesteś schronieniem dla mnie, gdy przed nożem  
własnych myśli po skałach twardych prawd uciekam.  
Za rozsądek z dnia na dzień płacę coraz drożej —  
czas jest katem cierpiących, żaden z niego lekarz.

W tobie szukam azylu, kiedy noc na dworze  
tuszem z rannego nieba na oczy wycieka.  
Jest mi źle, ale jutro będzie jeszcze gorzej.  
Jęcząc z bólu na nowe wciąż cierpienie czekam.

Aby mi pomóc, biegnij do lasu po zioła,  
idź do lasu po zioła, przez snu białe koła.

Zbuduj dla mnie przed strachem warowną fortecę,  
tak warowną fortecę jak czas, co się wlecze.

Tam przytul mnie do siebie, pocałuj we włosy,  
tak, pocałuj we włosy i pogódź mnie z losem.

## XXXII

Jest w tej miłości kłamstwo, a w tym kłamstwie miłość.  
Nie wiadomo, czy bardziej kłamiemy kochając,  
czy może kłamiąc bardziej kochamy. Ci znają  
najlepiej życie, którym wiele się przyśniło.

Naturą miłości bowiem wcale nie jest szczerłość,  
szczerłość jakże się rzadko z miłością rymuje,  
przegrasz, jeśli kochając, z kłamstwa rezygnujesz,  
bo i tak przecież kłamstwem równo nas obdzielą.

Obdzielą kłamstwem — miłość sama do nas przyjdzie,  
pozbawią miłości — w kłamstwie zechcemy ją widzieć,  
zabiorą kłamstwo — miłości nie znajdziemy nigdzie,  
obdarzą miłością — z kłamstwa wnet będziemy sztydzić.

Zycie to wieczny kłamstwa za miłością pościg.  
Mego kłamstwa się nie bój, lecz swojej miłości.

### XXXIII

Jeżeli mnie nie kochasz, w co śmiem powątpiewać,  
wtedy nie ma tragedii — wszystko jest normalne.  
Bywa, że gdy jest miłość, wzajemności nie ma;  
ja kocham się za ciebie, ty nie kochasz za mnie.

A jeśli nie kochamy — martwić się nie trzeba,  
bez miłości nienawiść nami nie zawładnie.  
Czasem żyje się długo bez kawałka chleba,  
ty karmisz obojętność — ja złudzenia karmię.

Jeżeli jednak kochasz — czego pewny jestem —  
wtedy zaprzeczasz sobie i mnie, i naturze.  
Los z banknotu miłości marną wyda resztę,  
ty zburzysz moje życie, a ja twoje zburzę.

Ja umieram z pragnienia — ty przymierasz głodem,  
stoimy obok siebie — ja mam chleb — ty wodę.

## XXXIV

Ile siły potrzeba, by się jeszcze modlić,  
gdy znowu zapominam o twoim istnieniu.  
Ile potrzeba kropel, by w hardym kamieniu  
wyrzeźbić cierpliwości najwierniejszy pomnik.

Jakże trzeba się śpieszyć, żeby czas ulomny  
wiary najgłębszej w gęstym nie zagubił cieniu.  
Jakże pamiętać trzeba, żeby we wspomnieniu  
znaleźć azyl bezpieczny, uczciwy, wygodny.

Jakże trzeba być silnym, ile trzeba męstwa  
a ile w bólu milczeć, ile kłamstw urodzić,  
ile bezmyślnych w głowie obezwładnić godzin,

żeby była zwycięstwem każda nowa klęska.  
Żeby każde bezsenne przemykanie powiek  
było snem o miłości — majakiem o tobie.



### XXXV

Z dłoni przywykłych świeżo do kolca pieaszoty  
zdjęliśmy czas — ulotnym przyklejony tchnieniem.  
Profanując najczulsze i skryte nadzieje  
zmieniliśmy chiromancję w czarodziejski dotyk.

Patrzyliśmy zdumieni, jak niebieski motyl  
paruje z dłoni, w oczach przysiadłszy cierpieniem,  
i jak skurczem przez usta przebiegło milczenie,  
żeby przeczekać ciszę i wybuchnąć potem.

Odnależliśmy chwilę w długiej linii szczęścia,  
by rozdzielić ją równo na cieniutkie włókna,  
i czas się zdeformował zamknięty w objęciach,

a pająk snu niepokój ze spokoju utkał.  
Oddechy, jak do dłoni wtulone zaklęcia,  
pozbawiły nas strachu i życia na krótko.

## XXXVI

Czuję na głowie dotyk chłodnych dłoni nieba,  
słyszę huk rozdzieranej twardym wiatrem chmury.  
Jest noc i chociaż oczy podnoszę do góry,  
nic nie widzę — nad głową nic po prostu nie ma.

Stoję pośrodku lasu — wkoło ciężkie drzewa  
skarżą się czarnym gwiazdom na swój los ponury.  
Jest noc, więc nie przeskoczę nad ciemności murem.  
Nic nie widzę i chyba nic dokoła nie ma.

Wiem na pewno, że jesteś, gdzieś bardzo daleko,  
słyszę twój płacz jak strachu niespokojny temat.  
Oto ciemność zasypia pod ślepą powieką  
i znowu nic nie widzę. Może ciebie nie ma?

Noc będzie aż do rana chwiała moją wiarą —  
za wątpliwości pewność jest najlepszą karą.

## XXXVII

Wszystko było inaczej. To nie ja truciznę  
do twojego kielicha wsypałem w rozpacz,  
tylko ty — moim mieczem zostawiłaś bliznę  
w czarnym sercu Otella. To było inaczej.

Kto raz kochał, ten przyzna — to nie ty. Ja raczej  
zdradziłem, nie słuchając twoich szczerych wyznań.  
I nie ja, ale wróg mój podejrzeniem spaczył  
czarne myśli Otella. Kto kochał, ten przyzna.

Wszystko było inaczej, ten przyzna, kto kochał.  
Ja zdradziłem za ciebie, ty za mnie zabiłaś.  
Byliśmy sobie wierni i niewierni trochę,  
to śmierć nas powiązała, miłość — rozłączyła.

Ja królem będę w piekle, a ty służką w niebie.  
Ty byłaś wierna sobie — ja kochałem siebie.

### XXXVIII

Wiedziałem, że się zbudzisz, córko Capulettich,  
że nas w ukryciu ślubem dłoń połączy mnicha,  
i chociaż zobaczyłem, jak we śnie oddychasz,  
poczułem, że miecz w dłoni twoją krwią się lepi.

Tę miłość, pomyślałem, tylko śmierć pokrzepi,  
i ujrzałem, jak ojciec twój z rozpaczy zdycha.  
Pamiętam jak chichotał, krztusił się i prychał  
po śmierci twego brata, stary dziad Montequi.

Wiedziałem, gdy się zbudzisz i Romea we krwi  
zobaczysz — pierś sztyletem przekłujesz na wylót.  
Wyobrażałem sobie, że sumienia resztki  
zgryzą tych, co nad nami głowy swe pochyla.

To, co w nas najprawdziwsze, zemstą się skończyło.  
Zyliśmy przez nienawiść, giniemy przez miłość.

## XXXIX

Zyłem zawsze jak błazen, chociaż byłem panem,  
jadłem chleb od łez śmiechu słony jak ocean.  
Błazeński był mój koncept i błazeński nieład,  
do którego błazeński swój porządek pchałem.

Mój błazen był natomiast księciem filozofów,  
szczydził, schlebiał, pobłażał, by uniknąć stryczka,  
z książęcym gestem dawał błazeńskiego prztyczka,  
książęce prztyczki błazniąc nie dostawał kopów.

Błazen był zausznikiem błazeńskiego księcia,  
błazeński książę panem książęcego błazna.  
Choć obaj zasypiamy w tych samych objęciach,  
każdy z nas innej śmierci w swoim życiu zaznał.

Książę umarł, a błazen zjawia się i znika.  
W książęcej dłoni czaszkę skruszyłem Yoricka.

XI.

Noc. Nad fosą błyszozy luna —  
to się pali krew, co z serca  
płynąc, w gwiazdach klucz przekręca  
i gra na dwóch mieczy strunach.

Straże nie śpią, bo duch Banka  
klnąc przestrasza je do rana.  
Na posadzce trup Duncana  
rusza się. Zgrzytnęła klamka.

Królu, słyszysz, znów więźniowie  
płaczą w lochach. A na ścianie  
zęby szczyrzy miecz, co głowie  
i koronie na spotkanie  
wyśle zemstę w drzew powodzi.  
Spójrz — od Birnam las nadchodzi.



Wiem, że istnieje morze czarne i głębokie  
i wiatr, co do dna samego sięga swoją twarzą,  
lecz gdy będąc daleko o wybrzeżu marzę —  
boję się. Nie istnieje to, co poza wzrokiem.

Wiem, że muszą istnieć jakieś dźwięki głuche,  
muzyka jak pieśń wieczna, hymn podniosły, oda,  
lecz nocą, kiedy cisza kielich snu mi poda —  
boję się. Nie istnieje to, co poza słuchem.

Wiem, że istnieje Laura, moja duża miłość,  
od której mnie odgradza odległości krata,  
lecz kiedy marzę o niej, wspominam, co było —  
boję się. Czy istniejesz, tam, na końcu świata?

Boję się, że cię nie ma, bo gdy cię nie widzę,  
wzrok, słuch i wszystkie zmysły z mego strachu szydą.

## XLII

Nawet jeżeli wrócisz i będziemy razem,  
tyle nas jeszcze czeka cierpień, żeby przeżyć  
wspólną zdradę, śmierć wspólną, bezduszne rozkazy,  
które ciągle wydaje niezjednany reżim.

Nawet, gdy będziesz ze mną, czy potrafisz wierzyć,  
że kocham i szacunkiem jak monarchę darzę,  
kiedy nieufność zęby ironicznie szczyrzy,  
a ty kark wciąż nadstawiasz na podłości razy?

Tyle jest w naszych sercach miejsc nieznanych, które  
rozbłysną krwawą raną i zapieką słono,  
tyle jeszcze złych pragnień, żeby zostać królem,  
i tyle w ręku siły, by napisać donos

na ojczyznę, kochankę, przyjaciela, żonę...  
Jeżeli się poddamy, to wszystko stracone.

### XLIII

Jestem, a więc po prostu nie potrafię nie być.  
Sznur był za słaby, woda za bardzo przejrzysta,  
nóż tępy, dłonie kruche, a domy za niskie.  
Jestem, więc ktoś nieznany ciągle we mnie wierzy.

Jestem twój, choć mnie nie chcesz, a więc jestem niczyj.  
Moja miłość to farsa, wyznania to teatr,  
słowa — kłamstwa, a czyny — konsekwentny nieład.  
Jestem, więc ktoś nieznany ciągle na mnie liczy.

Jestem, choć ciebie nie ma, choć nie kochasz, Kocham,  
choć nic nie mówię, z tobą bez przerwy rozmawiam,  
na nic więcej nie liczę, chociaż liczę trochę...  
Jestem, więc ktoś nieznany ciągle na mnie stawia.

Kto, gdy bezradny padam, krzyczy głośno „ruszaj!”  
Może ty? Czy to ważne, kto do życia zmusza?

Los z nas uczynił błaznów. Nie ma się czym chlubić.  
Czy zatem stać pokornie, czy wystąpić z rzędu,  
podnieść głowę czy spuścić pod ciężarem błędów,  
wreszcie milczeć czy może nieśmiało przemówić.

Błazeńskie nasze w życiu pozowanie śmierci,  
nie wiemy: żyć czy może dokopać się grobu,  
z dwóch braci kogo kochać, jednego czy obu,  
przeciwdziałać czy liczyć, że coś się odkręci.

Kochać się czy nie kochać, szukać czy nie szukać,  
zapomnieć czy pamiętać, martwić się, żałować,  
dać się pożreć przez wilki czy przechytryć kruka,  
żądać sławy, a może palnąć sobie w głowę.

Patrz, Boże, rękę w ogień pcham, aby się tliła,  
pozwól mi żyć tak długo, jak długo wytrzymam.

## XLV

Jest we mnie śpiew pod niebo i łza ciężka w ziemię,  
jest rozterka — raz w prawo, innym razem w lewo.  
Jest rozszalałe morze i uśpiony Giewont —  
coś, czego jestem pewny, i coś, czego nie wiem.

Jest we mnie głód i słodki powszedniego chleba  
smak, ból, płacz, lęk i uśmiech, fałsz, wstręt i natchnienie.  
Jest pokora, wstyd, rozpacz i laurowy wieniec —  
coś, co było, jest, będzie i coś, czego nie ma.

Jest we mnie myśl, w spiralę poskręcana cienką,  
jest serce, jak chorągiew czarnym dłoniom losu  
uległe, i jest żądza — marność, cud i wielkość —  
coś, co można zrozumieć, lecz pojąć nie sposób.

Jest we mnie bunt i zgoda, Bóg, szatan i anioł,  
a poza mną są tylko ci, co potępiają.

## XLVI

Sen mnie w nocy białymi ramionami tulił,  
świeżym śniegiem przysypał wszystkie krwawe plamy,  
które w pościeli mroku po słońcu zostały,  
jak w głowie obce nazwy nieznanomych ulic.

Sen się we mnie bezsennie, jakby z zimna kulił,  
wszedł w mrocznego portretu pozłacane ramy  
i trwał do wschodu słońca we śnie nieprzespanym,  
jak westchnienie przepychu wśród zamkowych ruin.

Sen mnie uniósł do nieba — kości moje w prochu  
grzebiąc i osikowym przebijając palem.  
I uczynił mnie królem fałszywych proroków,

złodziejem, katem, błaznem, świętym, generałem,  
żebrakiem, psem, kapłanem — po powrocie z lochu  
sen mnie do łask przywrócił — już więcej nie spałem.



## XLVII

Mój cień popełnił dzisiaj ciche samobójstwo,  
prawie na moich oczach przebił się promieniem.  
Strzaskany jak żelazem uderzone lustro  
w zakamarkach podłogi ukrył swe cierpienie.

Gdy z sufitu na ziemię opadał po ścianie,  
słaby z upływu cienia, majaczący w oknie,  
spozstrzegłem, że w tym miejscu jest coś napisane.  
Był to list pożegnalny mego cienia do mnie:

„Nigdy jak cień za tobą już nie będę chodził,  
nie będę się narzucał, kiedy masz mnie dosyć,  
byłem twój, więc cię nigdy nie mogłem ochłodzić,  
Bóg bez pożytku nasze chciał połączyć losy.  
A przecież między nami drży gorąca ziemia —  
bądź do śmierci samotny bez swojego cienia”.

Nie ma chyba bez wyjścia w życiu sytuacji;  
w tej grze nikt nikomu nie może dać mata.  
Nie znając żadnej prawdy zawsze mamy rację.  
Słońce wolnością świeci na więziennych kratach,

słońce świeci niewolą w gałęziach akacji,  
Kain bliski był Bogu zabijając brata.  
Na szafocie największą sprawia satysfakcję  
uśmiechnąć się do stryczka lub obrazić kata.

Zagrajmy zatem w szachy, bowiem tylko w szachach  
istnieje sytuacja bez wyjścia dla ciebie.  
Nie w życiu, tylko tutaj można ci dać mata,  
na szach twój król odpowie białą flagą: „nie wiem”.

I ty odpowiesz „nie wiem” w nie udanej trosce,  
i pomyślisz, że życie jest jak szachy proste.

Huk to jest otwór świata, gdy ja w środku stoję  
pozornie obojętny, pozornie wzruszony,  
albo ptak z dziobem w chmurę bezpiecznie wtulonym,  
albo krwawe na niebie gwiazdozbiorów słoje. •

Krzyk to są usta ziemi szeptaniem rozcięte,  
kiedy ty tu pośrodku tkwisz jak oko w głowie,  
albo ciemnej jaskini lodowaty powiew,  
albo milczenie gwiazdy na dwoje pękniętej.

Cisza to nozdrza lasu zachwycone niebem  
narkotycznym, jak czerwień wiosennego cienia,  
albo dłonie miłością rozgrzane i chlebem,

albo pełna ufności nieznajoma ziemia,  
która szkielety nasze do piersi przygarnie.  
Cisza jest tylko dla nas, huk i krzyk są dla mnie.

## L

Rozmowa nie jest walką, lecz upokorzeniem,  
kompromisem słów, które nigdy paść nie mogą.  
Brak sensu to rozmowy pierwsze założenie,  
za które, jak za błędy, płacić trzeba drogo.

Własne słowa nas często napawają trwogą,  
trwoga podszyca cudzych słów niezrozumienie.  
Nie wiadomo, kto mówi, o czym i do kogo,  
bez znaczenia jest dla nas prostych zdań znaczenie.

Rozmowa to jest nasza hazardowa gierka —  
bluff się z bluffem potyka, więc strata niewielka,  
kiedy życie atuty sprawdza po kryjomu.  
Ja przegrałem, ty także, nie mówmy nikomu,  
że grając o rzecz wielką, klamiemy przed Bogiem.  
Ktoś pozwolił rozmawiać — nie mnie i nie tobie.

Kłamię wszystkie sonety, które napisałem,  
na miliony kłamliwych okruchów rozbite.  
Kłamstwo z kłamstwem w miłosny złączone pożytek,  
jedno bezczelne, drugie wredne, choć nieśmiałe.

Serce brudnym się kłamstwem tłumaczy przed ciałem,  
kłamstwem cierpienia ciało przed sercem ukryte,  
rozum kłamiąc tłumaczy sumienia ubytek.  
Kłamię i będę kłamał, jak dawniej kłamałem.

Kłamię, gdy mówię Kocham i kiedy zaprzeczam,  
gdy cierpię milcząc, tworzę kłamstwo doskonałe.  
Jak mól w kanapie, kłamstwo ukrywa się w rzeczach.  
Kłamię i będę kłamał, jak dawniej kłamałem.

Słowo każde jak robak kłamstwami opasłe.  
Czy to, co teraz czuję, także nazwać kłamstwem?

## SPIS TREŚCI

I (Chronisz przede mną...)	7
II (Ktoś się we mnie...)	8
III (Pragniesz, aby w twoich ustach...)	9
IV (W lesie dlonią polany wyrzeźbię...)	10
V (Jedno słowo jak szczapę...)	11
VI (Przegraliśmy...)	12
VII (Jeżeli każdej nocy...)	13
VIII (Chodzi tu do mnie...)	14
IX (Lecę w przepaść...)	15
X (Ten głos...)	16
XI (Znów cię widzę...)	17
XII (Spraw, Panie bym ją kochał...)	18
XIII (Tak patrzeć niepoznany...)	19
XIV (Nie mogę twojej ręki...)	20
XV (Jeszcze w rękach...)	21
XVI (Znów zjawiał się w nocy...)	22
XVII (Pamiętam twoje dłonie...)	23
XVIII (Spotykamy się nocą...)	24
XIX (Nie jesteś mi, Pani, mężem...)	25
XX (Równy jest cesarzowi...)	26
XXI (Lękysz naga...)	27
XXII (Milton raz pragnąłem...)	28
XXIII (Czarnym grzebieniem strachu...)	29
XXIV (Chroniąc się przed rozpaczą...)	30
XXV (Mam tylko dwie kochanki...)	31
XXVI (Spisz jeszcze...)	32
XXVII (Obiecałaś, że przyjdiesz...)	33
XXVIII (Otwórz drzwi...)	34
XXIX (Żebym cię tylko chwilę...)	35
XXX (Zakpij ze mnie...)	36
XXXI (Ciągłe jesteś schronieniem...)	37
XXXII (Jest w tej miłości...)	38
XXXIII (Jeżeli mnie nie kochasz...)	39
XXXIV (Ile siły potrzeba...)	40
XXXV (Z dłoni przywykłych...)	41
XXXVI (Czuje na głowie dotyk...)	42



XXXVII (Wszystko było inaczej...)	43
XXXVIII (Wiedziałem, że się zbudzisz...)	44
XXXIX (Żyłem zawsze...)	45
XL (Noc...)	46
XLI (Wiem, że istnieje...)	47
XLII (Nawet, jeżeli wrócisz...)	48
XLIII (Jestem...)	49
XLIV (Los z nas uczynił błaznów...)	50
XLV (Jest we mnie śpiew...)	51
XLVI (Sen mnie w nocy...)	52
XLVII (Mój cień...)	53
XLVIII (Nie ma chyba...)	54
XLIX (Huk...)	55
L (Rozmowa nie jest walką...)	56
LI (Kłamią wszystkie sonety...)	57

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · LUBLIN 1980

---

Wydanie I. Nakład 1000+272 egz. Ark. wyd. 1,4.  
Ark. druk. 6. Pap. druk. kl. III. 70 g, 70×100 cm.  
Oddano do składania 17 I 1980 r. Druk ukończono  
w marcu 1980 r. Cena zł 10.—

---

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN  
Lublin ul. Unicka 4. Zam. 395. W-6.

W Lubelskiej  
Bibliotece Poetyckiej  
w 1980 roku  
zaplanowane są  
następujące tomiki:

**Jerzy Krzysztof Misiec**  
PISANIE ŻYCIORYSU

**Dominik Opolski**  
PRZECHOWALNIA BAGAZU

**Andrzej Tchórzewski**  
PROSTOTA

**Matylda Welna**  
NIE ZABIJAJCIE POETÓW

1

2

5



29

31



36.



10

